



CHARLOTTE WILLOW

REQUIEM DLA AMBICJI

TOM III TRYLOGII „CIENIE AMBICJI”

Willow Charlotte

Requiem dla ambicji

Ridero

2026

Redaktor: Karolina Dopierała
Redaktor: @charlotte.willow.czyta

© Willow Charlotte, 2026

© Sztuczna inteligencja, projekt okładki, 2026

ISBN 978-83-8467-408-6

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Informacje wydawnicze	6
Patroni Medialni	7
Prolog – Czerwone światło	9
Rozdział 1 – Letni rygor	15
Rozdział 2 – Powrót zza murów	21
Rozdział 3 – Bezwzględne milczenie	34
Rozdział 4 – Pęknięcia w pancerzu	40
Rozdział 5 – Zaproszenie do ucieczki	49
Rozdział 6 – Poza murami	54
Rozdział 7 – Powrót do lektorium	64
Rozdział 8 – Ślad w świetle dnia	74
Rozdział 9 – Somatyczna eksplozja	83
Rozdział 11 – Narastający szum	101
Rozdział 12 – Konstrukcja sabotażu	112
Rozdział 13 – Letni Audyt	121
Rozdział 14 – Triumf potwora	136
Rozdział 15 – Przypis końcowy	145

Tom III trylogii
„Cienie ambicji”

∞

Książkę tę dedykuję tym, którzy wybrali spokój.

Informacje wydawnicze

Warszawa © 2026 Charlotte Willow

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej publikacji nie może być powielany ani rozpowszechniany w żadnej formie i w żaden sposób bez uprzedniej pisemnej zgody autorki.

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych, żyjących lub zmarłych, oraz autentycznych wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

Instagram: @charlotte.willow.czyta

www.marysue.pl
hello@marysue.pl

Patroni Medialni



Dziękuję tym, którzy zdecydowali się ponieść echo St. Oswald's dalej w świat. Za wiarę w mrok tej opowieści, odwagę do szukania prawdy w popiele i za to, że nie pozwalacie tym sekretom zniknąć w archiwach ciszy.

- Natalia ∞ @naviczyta ∞ navixczyta@gmail.com

- Justyna ∞ @bookswithpysiaa ∞ pysia.czyta@gmail.com

- Maja ∞ @zaklete. w. ksiazkach ∞ zakletewksiazkach@gmail.com

• Charlotte ∞ @charlotte.willow.czyta ∞ charlotte@mary-sue.pl

Prolog — Czerwone światło

Czerwone światło nie wybaczalo cieni.

W normalnym świetle łazienka na piętrze domu Hartleyów była pomieszczeniem zbyt małym, żeby pomieścić cokolwiek poza wanną, umywalką i szafką, której drzwiczki nigdy nie domykały się do końca. Tej nocy stała się laboratorium. Rose zakleiła okno czarnymi workami na śmieci, szczelinę pod drzwiami zatkała ręcznikiem, a nad lustrem zawiesiła lampkę pożyczoną od pana Crawforda razem z instrukcją, której połowy nie rozumiała.

Pod czerwonym światłem wszystko wyglądało jak dowód po zbrodni. Białe kafelki miały kolor zaschniętej krwi. Woda w trzech plastikowych kuwetach drżała od każdego ruchu. Jej dłonie, zanurzone po nadgarstki w za dużych gumowych rękawiczkach, wyglądały jak cudze.

Na zamkniętej pokrywie toalety leżał aparat Edwarda Crawforda. Skórzane etui było zadrapane na rogu dokładnie tam, gdzie zahaczyła nim o metalową szafę w gabinecie dyrektora. Rose od dwóch dni przesuwiała palcem po tej rysie, sprawdzając, czy nie stała się głębsza. Łatwiej było martwić się cudzą własnością niż tym, co znajdowało się na filmie.

Pierwszy arkusz papieru fotograficznego wsunęła do wywoływacza o dwadzieścia trzy minuty po północy.

Liczyła sekundy, poruszając szczypcami powoli, zgodnie z instrukcją. Dziesięć. Dwadzieścia. Trzydzieści. Początkowo na mokrej powierzchni nie było nic. Potem z mlecznej bieli zaczęły wynurzać się szare linie: krawędź sejfu, cień jej dłoni, prostokąt dokumentu.

Rose przestała oddychać.

Obraz gęstniał. Litery, jeszcze rozmyte, łapały ostrość jedna po drugiej. Nagłówek funduszu Cavendish. Numer rachunku. Data. Kwota.

Niżej: „Hartley, C.”

Papier zadrżał między szczypcami.

— Nie — powiedziała cicho, chociaż w łazience nie było nikogo, kto mógłby jej odpowiedzieć.

Przeniosła odbitkę do przerywacza, potem do utrwalacza. W kwaśnym zapachu chemikaliów nazwisko nie zniknęło. Nie rozplynęło się jak źle zapamiętane zdanie. Zostało na miejscu, czarne i równe, przy kolejnej rubryce przelewu.

Hartley, C. — pięć tysięcy.

Hartley, C. — siedem tysięcy pięćset.

Hartley, C. — płatność uzupełniająca, „koszty edukacyjne”.

Daty biegły przez lata. Nie jednorazowa ugoda, nie paniczny gest po śmierci Juliana, ale regularny rachunek. Ktoś opłacał milczenie rodziny z dyscypliną księgowego. Ktoś pilnował, żeby dług nie przedawnił się razem z żałobą.

Rose zawiesiła odbitkę na sznurku przeciągniętym nad wanną. Kropla spłynęła z rogu papieru i uderzyła o emalię z cichym, nieprzyzwoicie zwyczajnym stuknięciem.

Druga klatka wyłoniła list.

Rozpoznała pismo, zanim dało się przeczytać całe zdanie. Pochyle „H”, przesadnie długie dolne pętle, litery stawiane przez kogoś, kto nawet w gniewie nie pozwalał sobie na nierówność. Claire Hartley pisała tak samo na kartkach urodzinowych, które co roku przychodziły do domu w kremowych kopertach i zawsze kończyły się słowami: „Pamiętaj, Rose, że nazwisko zobowiązuje również tych, którzy nie mają herbu”.

Tutaj zobowiązywało inaczej.

„W związku z decyzją o niekontynuowaniu sprawy pana Juliana Hartleya w trybie karnym...”

Rose przybliżyła twarz do kuwety. Czerwone światło pulsowało jej pod powiekami.

„...przyjmuję zaproponowaną formę rekompensaty...”

Dalej atrament przecinał cień jej własnego palca, który podczas fotografowania zasłonił część marginesu. Sens jednak pozostał czytelny.

„...miejsce w programie stypendialnym dla moich potomków zostanie zagwarantowane poza oficjalnym konkursem...”

Na końcu, poniżej podpisu Claire, znajdował się dopisek innym charakterem pisma. Ostrzejszym. Pewnym swojej ceny.

„Warunki przyjęte. A.W.”

Whitby.

Rose przeniosła zdjęcie do kolejnej kuwety. Szczypce uderzyły o plastik zbyt mocno. Kilka kropel chemikaliów rozprysło się po jej nadgarstku, ale pieczenie dotarło do niej z opóźnieniem.

Za drzwiami skrzypnęła deska.

— Rose? — głos matki był przytłumiony przez drewno. — Jest po północy.

Rose zamarła.

Ręcznik pod drzwiami wydawał się nagle cienki jak papier. Przez chwilę widziała tylko cień stóp po drugiej stronie i wyobrażała sobie, że matka naciska klamkę, wchodzi, patrzy na rozwieszone nad wanną dowody, a potem mówi tym samym znużonym tonem co przy kuchennym stole: „Nie wracajmy do tego”.

— Źle się czuję — odpowiedziała. Głos zabrzmiał obco, zbyt równy.

— Mam przynieść herbatę?

Pytanie było tak zwyczajne, że niemal okrutne. Herbata lipowa, rachunki na blacie, nóż zatrzymany nad marchewką. Dom, który przez lata udawał, że nie ma piwnicy, choć jego fundamenty zbudowano z cudzych pieniędzy.

— Nie. Zaraz wyjdę.

Cień pod drzwiami trwał jeszcze sekundę. Potem deska skrzypnęła ponownie i kroki oddaliły się w stronę schodów.

Rose czekała, aż dom całkiem ucichnie. Dopiero wtedy wywołała trzecią klatkę, czwartą i piątą.

Na kolejnych odbitkach pojawiały się numery kont, podpisy pełnomocników, pieczęcie funduszu Cavendish oraz notatka o „zachowaniu ciągłości zobowiązania edukacyjnego wobec linii Hartley”. Jedno zdanie powtarzało się w kilku dokumentach, za każdym razem w odrobinę innej wersji: „Wypłata uzależniona od dalszego niewnoszenia roszczeń i niepodjęmowania publicznej dyskusji o wydarzeniach z sierpnia 1976 roku”.

Milczenie nie było rodzinną cechą. Było warunkiem umowy.

Kiedy ostatnia odbitka trafiła do utrwalacza, Rose usiadła na zimnej podłodze. Plecami oparła się o wannę, kolana podcią-

gnęła pod brodę. Nad jej głową mokre arkusze kołysały się lekko od przeciągu z wentylacji. Wyglądały jak czarne flagi wywieszone w kraju, którego istnienia dotąd nie uznawała.

Przez lata wierzyła, że jej matka nie mówi o Julianie, ponieważ ból jest zbyt duży. Potem zaczęła podejrzewać wstyd. Teraz zobaczyła trzecią możliwość, najgorszą: przyzwyczajenie do korzyści.

Może matka naprawdę nie знаła wszystkich szczegółów. Może Claire nigdy nie powiedziała jej, skąd biorą się pieniądze, kto podpisał list i dlaczego nazwisko Rose pojawiło się na krótkiej liście Cavendish, zanim komisja zdążyła policzyć jej wyniki. Ta niewiedza nie zmieniała jednak faktu, że całe życie Hartleyów zostało ustawione na fundamencie ugody.

A Rose weszła do St. Oswald's przekonana, że jest pierwszą osobą w rodzinie, która niczego od nich nie dostała za darmo.

Zaśmiała się raz, krótko i bezgłośnie. Czerwone światło sprawiło, że odbicie w lustrze wyglądało jak twarz kogoś przyłapanego na kłamstwie.

Podeszła do sznurka. Każdą fotografię zdjęła dopiero wtedy, gdy powierzchnia przestała lepić się do rękawiczek. Ułożyła je według dat, potem jeszcze raz według numerów rachunków. Z przyzwyczajenia stworzyła porządek z czegoś, co właśnie zniszczyło wszystkie jej dotychczasowe kolumny.

Oryginalny film wsunęła do papierowej koperty. Odbitki podzieliła na dwa zestawy. Jeden schowała w płaskiej kieszeni pod podszewką torby, obok Horacego. Drugi umieściła między stronami starego atlasu w szafie, w rozdziale o warstwach geologicznych Anglii. Nikt w tym domu nie otwierał książek, których nie dało się wykorzystać do podparcia stołu.

Na końcu została jej fotografia listu Claire.

Rose przytrzymała ją pod lampą. Mokry papier błyszczał, a podpis babci wyglądał na świeży, jakby złożono go kilka minut temu.

„Zadośćuczynienie”.

Słowo miało elegancki kształt. Dobrze wyglądało na papierze. Nie było w nim ciała Juliana, pustego peronu, dwóch niewykorzystanych biletów ani Arthura Whitby’ego wybierającego marmur zamiast człowieka. Nie było w nim Rose liczącej wersy Horacego w pociągu do szkoły i wierzącej, że każdy punkt kupuje jej wolność.

Zgasila czerwoną lampkę.

Ciemność była całkowita. Przez kilka sekund nic nie widziała, tylko słyszała kapanie wody z kranu i własny oddech. Potem nacisnęła zwykły włącznik.

Białe światło uderzyło w łazienkę bez litości.

Na sznurku zostały ślady po klamerkach. W kuwetach pływała mętna ciecz. Na kafelkach leżała jedna kropla wywołująca, czarna jak atrament.

Rose zdjęła ręcznik spod drzwi.

Za trzy dni miała wrócić do St. Oswald’s jako laureatka Cavendish Grant.

Po raz pierwszy wiedziała dokładnie, ile kosztowało jej nazwisko.

Rozdział 1 – Letni rygor

Letnie słońce Suffolk uderzało w gotyckie wieże St. Oswald's z taką bezwzględnością, jakby chciało wypalić z kamienia stuletni osad wilgoci i deszczu. Dziedziniec, widziany zza grubych, ołowianych szyb, wydawał się nierealny, zalany jaskrawym, cytrynowym blaskiem, który jadowicie kontrastował z chłodem panującym wewnątrz murów. Tutaj, za ciężkimi dębowymi drzwiami, powietrze nie dawało odetchnąć – wciąż pachniało pastą do podłóg, dusznością niezmiennych reguł i kurzem, którego nikt nie sprzątał, bo stał się już częścią tradycji.

Rose funkcjonowała w trybie nowego, rygorystycznego wzorca.

Apatia nie była u niej widowiskowa. Nie miała w sobie gwałtownych gestów ani głośnego płaczu. Była lodowatym, precyzyjnym wyłączeniem rejestru emocji, pancerzem, który zatrzasnęła na głucho w sekundę po tym, jak jej buty dotknęły żwiru na podjeździe. Stała się maszyną. Pustą rubryką, która adaptowała się do tutejszej temperatury bez jednego drgnienia zuchwy.

W podszewce jej torby, tuż obok Horacego, leżały gotowe odbitki z aparatu Crawforda. Czerwone światło prowizorycznej ciemni w rodzinnym domu wciąż pulsowało pod jej powiekami

za każdym razem, gdy zamykała oczy. Pamiętała mokry papier fotograficzny, kwasowy zapach odczynników i powolne, potworne wyłanianie się prawdy z nienagannego mroku: wyciągi bankowe, regularne przelewy na konto „Hartley, C.” i ten elegancki, pochyły charakter pisma Claire Hartley. List, w którym jej własna babcia beczelnie zażądała stypendium Cavendish jako zadośćuczynienia za śmierć Juliana. Za kofeinowy zapach milczenia nad jego ciałem.

Cała jej moralna wyższość, noce zarwane nad książkami, idealnie równe marginesy i ta rozpaczliwa, samotna walka o bezbłędność — wszystko to straciło wagę. W ułamku sekundy jej wysiłek stał się fikcją. Nie dostała Cavendish Grant za wyniki. Została tu dopisana jako rata za rodowy dług, zanim jeszcze zdążyła wbić pierwszą stalówkę w szkolny zeszyt. Była urzędową transakcją elity, uwikłaną w system tak samo jak Matt Whitby.

„Nie wracajmy do tego, Rose” — lodowaty, znużony głos matki znad kuchennego stołu wracał do niej z regularnością metronomu. Nikt nie chciał o nim mówić. Nikt nie chciał prawdy. Wszyscy woleli polerować fasady swojej klatki.

Rose powoli wyciągnęła z szafy szkolną marynarkę. Wsuwając ramiona w sztywny, wełniany materiał, poczuła, jak twarda, lodowata obręcz wokół jej klatki piersiowej zaciska się o kolejny centymetr, wymuszając płytki, kontrolowany oddech.

Do lunchu zostało jedenaście minut. Nowy semestr nie przewidywał didaskaliów dla jej rozpacz — wymagał jedynie, by wyszła na korytarz, zajęła swoje miejsce w rankingu i idealnie odegrała rolę wzorowej, nietkniętej stypendystki. Nawet jeśli wracała za mur jako skażony świadek własnego pochodzenia.

*

Jadalnia St. Oswald's pulsowała miarowym, mechanicznym szumem — brzęk aluminiowych sztućców o porcelanę, ostry zgrzyt ław przesuwanych po wyszlizganych kamiennych płytach i monotonny, gęsty pomruk kilkuset głosów, który odbijał się od gotyckiego sklepienia i wracał na dół jako zniekształcone echo. Pachniało gotowaną kapustą, pastą do podłóg i wilgotną wełną szkolnych mundurków.

Rose siedziała przy swoim stałym stoliku w środkowym pasie sali, starannie odwrócona plecami do centrum. Przed jej tacą leżał rozłożony Horacy, którego marginesy dawno przestały być czyste, stając się gęstym zapisem jej własnych paranoi i statystycznych obliczeń. Po obu stronach ławki rozciągał się ten sam, niezmienny pas pustki — niewidzialne pole magnetyczne, które St. Oswald's domykało wokół niej bez żadnego wysiłku. Izolacja Hartley była tu rzeczą stałą, wpisaną w codzienny rejestr.

Geometria tego układu pękła bez ostrzeżenia.

Zamiast twardego stuknięcia tacy po drugiej stronie blatu, Rose poczuła gwałtowny, fizyczny skok ciśnienia w powietrzu tuż obok siebie. Drewno ławki ugięło się sprężysto, gdy ktoś usiadł nie naprzeciwko, ale bezpośrednio obok niej — tak blisko, że materiał jego swetra otarł się o jej ramię.

Theodore Davenport odstawił szklankę z sokiem, nawet nie patrząc na resztę sali. Krawat miał poluzowany o ten swój bezczelny, nieregulaminowy centymetr, a jasne włosy nosiły jeszcze ślady wiatru z dziedzińca. Przeniósł na nią całą swoją uwagę, nachylając się nieznacznie, jakby środek jadalni przeniósł się właśnie na krawędź jej talerza.

— Zmienia się układ współrzędnych, Hartley? — zapytał cicho. Jego głos, podszyty tytoniem i tą surową, salonową swobodą, uderzył prosto w jej zeszywniały kark.

Rose zamarła z łyżką w pół ruchu. Jej ciało zareagowało natychmiast, zmuszając płuca do bolesnego, płytkiego wdechu. Przelknęła ślinę, starając się przywrócić twarzy tryb absolutnej, lodowatej apatii.

— Siedzisz po niewłaściwej stronie ławki, Davenport — odpowiedziała, nie odwracając głowy. — Zakłócasz statystykę tego stołu.

— Statystyka bywa nudna, kiedy wszystko się zgadza — odparł Theodore. Jego długie palce oparły się o krawędź jej notesu, zaledwie milimetr od jej kciuka. Ciepło jego skóry przeszło przez papier, parząc ją podskórnie i bez pytania o zgodę. — Wiesz, że ja wolę odstępstwa od normy. Teatr pod oknem i tak ma dziś za dużo widzów, a ty... ty jesteś jedyną stałą rzeczą w tym całym didaskaliowym cyrku.

Fraza „odstępstwa od normy” wyszła z niego miękko, prawie poufnie, wyrywając z jej piersi kolejne, niespokojne drżenie, które tak starannie próbowała zamknąć pod pancerzem liczb.

Zanim zdążyła sformułować jakąkolwiek chłodną ripostę, szum wokół ich ławki zmienił ton o pół oktawy.

Olivia Taylor podeszła do stołu z nienaganną, bezwzględną precyzją elity. Jej mundurek był pozbawiony choćby jednej fałdy, włosy upięte w regulaminowy, ciasny kok, a na twarzy malował się ten gładki, mechaniczny spokój, który uosabiał standardy St. Oswald's. Bez żadnego manifestacyjnego gestu odsunęła krzesło i usiadła obok Theodore'a, stawiając swoją tacę na blacie z cichym, ostatecznym stuknięciem.

— Widzisz, Theodore, aneks socjalny przenosi się bliżej centrum, kiedy nikt nie patrzy — zaczęła Olivia, badając wzrokiem zawartość ich talerzy z tą specyficzną, niewymuszoną swobodą. — Cześć, Rose. Twój wuj, Theodore, szukał cię przed południem w skrzydle administracji. Ponoć chciał wiedzieć, czy twój kufer z Londynu w ogóle dojechał, czy znowu połowę rzeczy zostawiłeś u Cartera na Kensington.

Theodore uśmiechnął się lekko, przesuwając swoją szklanę z tą specyficzną, salonową grzecznością kogoś, kto od dzieciństwa trenował bankietowe układy.

— Mój wuj za bardzo przejmuje się logistyką — odparł leniwie. — Carter i tak miał mi odesłać te płyty przed końcem ferii. W Londynie przynajmniej nikt nie robił afery z zagubionego bagażu, dopóki smoking leżał jak trzeba.

— Na raucie u Lady Eleanor nikt w ogóle nie zauważyłby braku bagażu, wszyscy byli zbyt zajęci udawaniem, że potrafią odróżnić quiche od tartinek — Olivia parsknęła cicho, sięgając po swój kubek. — Twoja matka, Davenport, spędziła pół wieczoru na tarasie, rozmawiając z sędzią o nowym klubie tenisowym, a ty jak zwykle zniknąłeś przed deszczem.

Rozmowa płynęła nad stołem płynnie, bez żadnych zacięć, żonglując nazwiskami, rodzinnymi kodami i wspomnieniami miejsc, których Rose nigdy nie zobaczy. Słowa elity układały się w miarowy, gęsty szum. Rose milczała, wpatrując się w rozłożone przed sobą strony Horacego. Pozwalała, by ten towarzyski parawan odcinał ją od reszty jadalni, dając jej chwilowe, pozorne schronienie.

Ale parawan zamiast bezpiecznego dystansu przyniósł coś innego. Potwornego.

W środku, głęboko pod warstwą lodowatej apatii, którą tak starannie hodowała od początku nowego semestru, po raz pierwszy skiełkowało coś nielogicznego, ostrego i palącego – czysta, chłodna zazdrość. To nie był gniew na system ani strach przed dyrektorem. To była klasyczna, bolesna zazdrość o społeczną naturalność, o kody elity, z których ona, Rose Hartley, była bezwzględnie wykluczona.

Nienawidziła lekkości, z jaką Olivia wpasowywała się w świat Theodore’a. Tego, jak ich wspólne wspomnienia, rzucane niedbale między talerzami, budowały mur, przez który żadne idealne oceny, żadne statystyki ani nawet Cavendish Grant nie były w stanie się przebić. Mogła przepisać całe archiwum, mogła znać każdą sygnaturę spraw, ale nigdy nie miała posiąść tej organicznej, rodowej swobody. Była obca. Przypis napisany innym, gorszym tuszem.

Theodore przeniósł na nią wzrok, jakby chciał sprawdzić, czy jego „odstępstwo od normy” wciąż trzyma pozycję, ale Rose nie uniosła głowy. Zwróciła oczy na nietkniętą kromkę chleba, czując, jak jej wypracowany pancerz obojętności pęka w całkowicie niewymienionym w żadnym rejestrze miejscu.

Letni semestr St. Oswald’s dopiero się zaczynał, a Rose Hartley właśnie zarejestrowała pierwszą, niepoliczalną stratę.